

Joseph Bédier: „Dzieje Tristana i Izoldy”

„Panie Tristanie, niech Bóg cię wspomóż, zgubiłeś się bowiem i na tym świecie i na tamtym. Kto zdradził pana, takiego powinno się rozerwać dwoma końmi, spalić na stosie; gdzie jego popiół padnie, tam trawa nie wyrasta i praca zostanie daremna; tam drzewo, zieleń umiera. Tristanie, oddaj królowę temu, kto ją zaślubił wedle prawa Rzymu” . Publikujemy fragment „Dziejów Tristana i Izoldy” odtworzonych wedle dawnych legend i poematów przez Josepha Bédier na łamach „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „ Joseph Bédier [...]”.

IX. LAS MOREŃSKI

— Straciliśmy świat i świat stracił nas,
co myślisz o tym, Tristanie, mój miły.

— Miła, kiedy ciebie mam z sobą,
i czegoż mi trzeba?
Gdyby i wszystkie światy były z nami,
wiłiałbym tylko jedną ciebie.

Powieść prozą o Tristanie

W głębi ślicznego lasu w wielkim znoju jak ścigane zwierzęta błądzą i rzadko ważą się wrócić wieczorem do wczorajszego legowiska. Jeńcą tylko mięso śliczych zwierząt i żałują smaku soli i chleba. Wychudłe ich twarze stały się blade, ośwież opadła w strzępach, podarta przez głogi. Miłują się, nie czują cierpienia.

Jednego dnia, przebiegając wielkie lasy, które nigdy nie zaznały siekiery, zabłądili przypadkiem do pustelni brata Ogryna.

W słońcu, pod lekkim drzewem klonu, w podniebieniu kaplicy stary człowiek, opierając się na lasce, szedł drobnym krokiem.

— Waleczny Tristanie — wykrzyknął — wieś, jaką wielką przysięgę złożyli luźnie Kornwalii. Król kazał okrzyknąć wielkie wołanie po wszystkich parafiach; kto cię pochwyci, otrzyma sto sztuk złota jako zapłatę. Wszyscy baronowie przysięgli cię wydać żywym lub umarłym. Kajaj się, Tristanie. Bóg odpuszcza grzesznikowi, który czyni pokutę.

— Kajać się, ojciec Ogrynie? Z jakiej zbrodni? Ty, który nas sąsiad, żali wiesz, jaki napitek wypiliśmy na morzu? Tak, dobry sok upoił nas i oto wolałbym zebrać całe życie po progach i żyć ziołami i korzonkami z Izoldą, niż bez niej być królem pięknego królestwa.

— Panie Tristanie, niech Bóg cię wspomóż, zgubiłeś się bowiem i na tym świecie i na tamtym. Kto zdradził pana, takiego powinno się rozerwać dwoma końmi, spalić na stosie; gdzie jego popiół padnie, tam trawa nie wyrasta i praca zostanie daremna; tam drzewo, zielenie umiera. Tristanie, oddaj królowę temu, kto ją zaślubił wedle prawa Rzymu.

— Nie jest już jego; wydał ją trędowatym; na trędowatych ją zdobyłem. Odtąd jest moja; nie mogę się z nią rozłączyć ani ona ze mną.

Ogryn usiadł; u jego stóp płakała Izolda z głową na kolanach człowieka, który cierpi dla Boga. Pustelnik powtarzał jej święte słowa Pisma: ale ona, zapłakana, wstrząsała głową i nie chciała uwierzyć.

— Niestety — rzekł Ogryn — Jakież pociechy można użyć zmarłym? Kajaj się, Tristanie, ten bowiem, który żyje w grzechu bez skruchy, jest umarły.

— Nie, żyję i nie kajam się. Wrócimy do lasu, który nam daje opiekę i schronienie.

Chodź, Izold, przyjaciółko moja!

Izold podniosła się, wzięli się za ręce. Weszli w głębokie zioła i paprocie; drzewa zamknęły za nimi gałęzie; znikli w gąszczu.

*

Słuchajcie, panowie mili, pięknego zdarzenia, Tristan wychował był psa, charta, pięknego, żywego, lekkiego w biegu; ani hrabia, ani król żaden nie ma lepszego do polowania z łukiem. Wołano go Łapaj. Trzeba go było zamknąć w ogrodzeniu spletanego za pomocą kłody uwieszanej u szyi; od dnia bowiem, w którym stracił z oczu pana, odmawiał wszelkiej strawy, drapał łapami ziemię, płakał, wył. Wielu litowało się nad nim.

— Łapaj — mówili — żadne zwierzę nie umie tak kochać jak ty: tak, Salomon mądrze to powiedział: „Prawdziwy przyjaciel to mój chart”.

I król Marek, wspominając minione dni, myślał w sercu: „Ten pies okazuje wiele rozumu, iż płacze za swoim panem: jestże bowiem ktoś w całej Kornwalii, który by wart był Tristana?”.

Trzej baronowie przyszli do króla:

— Panie, każ odwiązać Łapaja, dowiemy się snadnie, żali czyni taki lament z przyczyny swego pana; inaczej ujrzysz, jak ledwie odwiązany, z ziejącą paszczką, z wywieszonym językiem, zaczniesz ścigać ludzi i zwierzęta, aby je kąsać.

Rozwiązują go. Skacze przez wrota i pęśli do izby, gdzie niegdyś był Tristan. Warczy, skuczy, biega, szuka, odnajduje wreszcie ślad pana. Przebiega krok za krokiem, drogę, którą Tristan szedł w stronę stosu. Wszyscy idą za nim. Szczeka donośnie i drapie się na skałę. Oto już jest w kaplicy, skacze na ołtarz; nagle rzuca się przez okno, pada u stóp skały, odnajduje ślad na wybrzeżu, zatrzymuje się chwilę w kwitnym krzaku, w którym Tristan był się zaczął, wreszcie pomyka w stronę lasu. Nie było człowieka, izby nie litował się, patrząc.

— Miły królu — rzekli wówczas rycerze — przestańmy iść za nim; mógłby nas zawieść w takie miejsce, z którego niełatwo byłoby wrócić.

Zostawili go i nawrócili. Znalazłszy się w gąszczu, pies zaszczekał donośnie, tak iż cały las odebrzmiał. Z daleka Tristan, królowa i Gorwenal usłyszeli go: „To Łapaj!”. Przelękli się; ani chybi, to król ich ściga; ha! każe ich tropić niby jakieś bestie, przez ogary...

Zanurzają się w gąszcz. Na skraju Tristan przykłęka z napiętym łukiem. Ale skoro Łapaj ujrzał i poznał pana, skacze ku niemu, kręci głową i ogonem, gnie krzyże, zwija się w kłębek. Kto widział kiedy podobną radość? Następnie pobiegł ku Izoldzie Jasnowłosej, ku Gorwenalowi, koniowi nawet się ucieszył. Tristan uczuł wielką żalność:

— Ha! przez jakieś nieszczęście odnalazł nas tutaj! Co może człowiek tropiony począc z tym psem, który nie umie zachować się cicho? Po równinach i lasach, po całej swej ziemi król szuka nas. Łapaj zdradzi nas szczekaniem. Ach, przez miłość to i przez szlachetność natury przyszedł szukać śmierci. Trzeba nam się chronić wszelako. Co czynić? Radźcie.

Izold popieściła Łapaja dłonią i rzekła:

— Panie, oszczędź go! Słyszałam o leśniczym galijskim, który nauczył psa, aby bez szczekania tropił ślady zranionych jeleni. Miły Tristanie, cóż za radość, gdyby się udało, nie szczękając mozołu, przyuczyć tak Łapaja!

Zadumał się chwilę, gdy pies lizał ręce Izoldy. Tristan uczuł litość i rzekł:

— Spróbuję, zbyt ciężko mi go zabijać.

Niebawem Tristan wybrał się na łowy, poszczuł daniela, sięgnął go strzałą. Pies chce pomykać śladami daniela i szczeka tak głośno, że cały las rozbrzmiewa. Tristan uderzeniami zmusza go do milczenia. Łapaj podnosi głowę ku panu; łowi się, nie śmie już szczekać, opuszcza ślad. Tristan bierze go do nogi, następnie uderza się po cholewie gałązką kasztana, jak czynią myśliwcy, aby pobulić psy. Na ten znak, Łapaj chce znowu szczekać i Tristan znów karci. Ucząc w ten sposób, nim jeszcze upłynął miesiąc, ułożył go, aby polował niemo. Kiedy strzała zraniła daniela lub sarnę, Łapaj, nigdy nie wydając głosu, tropił ślad po śniegu, po łące lub trawie; jeśli dopadł bydłęcia wśród drzew, umiał zaznaczyć miejsce, znosząc gałązki; jeśli dosięgnął go na równinie, zbierał trawy pod zwalone ciało i wracał, bez jednego szczeknięcia, aby sprowadzić pana.

Minęło lato. Przyszła zima. Kochankowie żyli w jaskini skalnej: na ziemi stwardniałej od mrozu, sople lodu jeżyły ich poślanie z zeschniętych liści. Łięki potężne miłości ani jedno, ani drugie nie czuło swej nędzy.

Zasie, kiedy przyszła życzliwsza pora, wzniesli pod wielkimi drzewami szałas z pozieleniałych gałęzi. Tristan znał od dziadostwa sztukę udawania śpiewu ptaków leśnych; mógł wedle ochoty udać wilgę, sikorę, słowika i wszelki ród skrzydlaty i niekiedy pod gałęziami szałasów, przybywszy na jego wołanie, liczne ptaki z odętą garbielą wiodły swe pieśni w pełnym słońcu.

Kochankowie nie przebiegali już lasu, błędąc bez przerwy; żaden bowiem z baronów nie ważył się ich ścigać, wiedząc, iż Tristan powiesiłby ich na gałęzi. Jednego dnia wszelako jeden ze zdrajców, Gwenelon (niech go Bóg skarże!), uniesiony zapalem polowania ośmielił się puścić w okolice moreńskiego boru. Tegoż samego rana na skraju lasu, w wyrwie potoku Gorwenal, zdjąwszy siodło ze swego rumaka, dał mu się popaść świeżą trawą; opodal, pod altaną z liści, na kwietnym poślaniu Tristan chwycił królową obłąpaną w uścisku i oboje spali.

Nagle Gorwenal usłyszał granie sfory: w wielkim pośpiechu psy ścigały jelenia, który rzucił się w rozpadlinę. Z daleka na równi ukazał się myśliwiec, Gorwenal poznał go: był to Gwenelon, człowiek, którego pan

jego nienawidził ponad innych. Sam, bez giermka, z ostrogami wbitymi w krwawiące boki konia, smagając go po karku, nadbiegał. Zaczajony za drzewem Gorwenal czatuje nań; tamten nadjeżdża szybko, wolniej zasię przyjdzie mu wrócić!

Mija: Gorwenal wypada z zaskaki, chwyta za uzdę i przywołując sobie w tejże chwili na oczy wszystko złe, które ten człowiek sprawił, strąca go z konia, siecze i odchodzi, unosząc uciętą głowę. A tam, pod altaną z liści, na kwietnym posłaniu Tristan i królowa spali obłąpani ciasno. Gorwenal podszedł bez hałasu z głową zabitego w dłoni.

Skoro myśliwcy znaleźli pod drzewem kadłub bez głowy, przerażeni, jakby Tristan ich ścigał, uciekli, lękając się śmierci. Od tego czasu nikt już nie waży się polować w tym lesie.

Aby ucieszyć przy obudzeniu serce pana, Gorwenal przywiązał za włosy głowę do sklepienia szałas; gęste sitowie okalało ją wieńcem.

Tristan obudził się i ujrzał w pół ukrytą za liśćmi głowę, która nań patrzała. Poznał Gwenelona; zrywa się na nogi przestraszony. Ale nauczyciel jego krzyczy:

— Uspokój się, nieżywy jest. Zabiłem go tym mieczem. Synu, to był twój nieprzyjaciel!

I Tristan weseli się; ten, którego nienawidził, Gwenelon, nie żywie.

Od tej pory nikt nie odważył się już zapuszczać do ciemnego boru, strach strzeże doń przystępu i kochankowie są w nim panami. Wówczas to Tristan uczynił sobie łuk Niechybny, który zawsze trafiał do celu, człowieka czy zwierzę, w zamierzone miejsce.

Panowie miłościwi, było to w dzień letni, w czasie żniw, nieco po Zielonych Świątkach i ptaki po rosie śpiewały na bliską jutrzenkę. Tristan wyszedł z szałas, opasał miecz, narzął łuk Niechybny i sam jeden poszedł na łowy do lasu. Nim zejłie wieczór, przygołi mu się wielka troska. Nie, nigdy kochankowie nie kochali się tak barło i nie odpokutowali tego tak ciężko.

Skoro Tristan wrócił z łowów, zmorzony srogim upałem, wziął królowę w ramiona:

— Miły mój, głie byłeś?

— Za jeleniem, który mnie znużył do cna. Patrz, pot spływa z moich członków; chciałbym położyć się spać.

Pod sklepieniem zielonych gałęzi, na posłaniu ze świeżych ziół, Tristan wyciągnął się przy niej i złożył nagi miecz między ich ciała. Na swoje szczęście zachowali na sobie ołież. Królowa miała na palcu pierścień złoty z pięknymi szmaragdami, który Marek dał jej w dzień zaślubin; palce stały się tak wychudłe, iż pierścień ledwie się trzymał. Jedno ramię Tristana spoczywało pod głową przyjaciółki, drugie miał przerzucone przez jej piękne ciało. Tak spali ciasno objęci; ale wargi ich nie były złączone. Ani najmniejszego podmuchu wiatru, ani najmniejszego drżenia listka. Przez sklepienie z zieleni promień słońca spłynął na twarz Izoldy, która błyszczała jak sopel lodu.

Otóż zdarzyło się, że leśniczy znalazł w lesie miejsce, głie trawy były zdeptane; poprzedniego dnia kochankowie tam spali. Nie poznał odcisku ich ciał, poszedł za śladami i dotarł do legowiska. Ujrzał, Jak spali, poznał ich i uciekł, lękając się straszliwego przebułenia Tristana. Uciekł aż do Tyntagielu, o dwie mile stamtąd, wbiegł na stopnie wiodące do wielkiej komnaty i zastał króla, który sprawował sądy wśród zgromałonych lenników.

— Przyjacielu, czego tu szukasz, zziajany od biegu? Rzekłby ktoś, iż to psiarek, który długo gonił za psami. Czy i ty także chcesz się dopraszać sprawiedliwości za jakoweś krzywdy? Kto cię wygnał z mego lasu?

Leśny wziął króla na stronę i rzekł cicho:

— Wiąłem królowę i Tristana. Spali, zląłem się.

— W którym miejscu?

— W szałasie, w lesie moreńskim. Spali jedno obok drugiego, utuliwszy się wzajem w ramionach. Chodź prędko, Jeśli chcesz znaleźć pomstę.

— Idź czekać mnie u wniścia do lasu, u stóp Czerwonego Krzyża. Nie mów żywej duszy o tym, co wiąłeś; dam ci złota i srebra, ile zechcesz.

Leśny iście i siada pod Czerwonym Krzyżem. Przeklęty niech będzie szpieg! Ale zginie haniebnie, jak ta historia pouczy was niebawem.

Król kazał okulbaczyć konia, przepasał miecz i bez żadnej kompanii wymknął się z miasta. Jadąc tak samotnie, przypomniał sobie noc, w której przychwycił siostrzeńca: jakąż czułość jawiła wówczas Tristanowi Izold Krasawica o jasnej twarzy! Jeśli ich zdybie, ukarze te srogie przewiny; pomści się na tych, którzy go zhańbili...

Pod Czerwonym Krzyżem zastał leśnego.

— Idź naprzód i prowadź mnie szybko i prosto.

Czarny cień wielkich drzew otula ich. Król iście za szpiegiem. Ufa w swój miecz, który niegdyś zadawał piękne ciosy. Ha! Jeśli Tristan się zbuji, jeden z dwu, Bóg to wie, który! zostanie martwy na placu. Wreszcie

leśny rzekł po cichu:

— Królu, zbliżamy się.

Potrzymał mu strzemię i przywiązał uzdę do gałęzi zielonej jabłoni. Zbliżyli się Jeszcze i nagle na słonecznej polanie ujrzeni kwietny szałas. Król rozwiązuje płaszcz o zapinkach ze szczerego złota i odsłania swe piękne ciało.

Dobywa miecza z pochwy i powtarza w sercu, że chce zginąć, Jeśli ich nie zgłai. Leśny ilie za nim, król daje znak, aby się wrócił.

Wchoi sam jeden do szałasu z nagim mieczem i podnosi go... Ha! cóż za żałoba, jeśli wymierzy ten cios! Ale zauważył, iż usta ich nie stykają się i że nagi miecz rozliela ich ciała.

„Boże — rzekł do siebie w myśli — cóż ja wię! Trzebaż ich zabić? Żyjąc od tak dawna w tym lesie, gdyby się miłowali występłą miłością, żali położyliby ten miecz między siebie? Żali każdy nie wie, że nagi brzeszczot, który rozliela dwa ciała, jest zakładnikiem i stróżem czystości? Gdyby się miłowali występłą miłością, czyż odpoczywaliby tak niewinnie? Nie, nie zabiję ich; to byłby wielki grzech ich ugoić; gdybym obuił śpiącego i gdyby jeden z nas poległ, mówiono by o tym długo i na naszą hańbę. Ale tak uczynię, aby przy obueniu wieieli, że zastałem ich śpiących, że nie chciałem ich śmierci i że Bóg ulitował się nad nimi”.

Słońce, przechoąc przez sklepienie szałasu, paliło białą twarz Izoldy; król zdjął rękawiczki oszyte gronostajem: „To ona — myślał — przywiozła mi je niegdyś z Irlandii!...”

Umieścił je wśród liści, aby zamknąć iurę, przez którą wnikał promień; następnie zdjął ostrożnie pierścień z kamieniem szmaragdu, który był dał królowej. Niegdyś trzeba go było siłować po trosze, aby nawlec na palec; teraz palce jej były tak wątłe, iż pierścień zsunął się bez trudu! Na jego miejsce król włożył pierścień, z którego Izolda niegdyś uczyniła mu podarek. Wreszcie podjął miecz, który rozlielał kochanków, ten sam — poznał go — który wyszczerbił się na czaszce Morholta, położył swój w jego miejsce, wyszedł z altany, skoczył na siodło i rzekł leśniczemu:

– Umykaj teraz i ratuj życie, jeżeli zdołasz!

Owo Izold miała we śnie widzenie: była pod bogatym namiotem, wśród wielkiego lasu. Dwa lwy rzuciły się na nią i biły się o jej posiadanie... Wydała krzyk i zbudziła się; rękawiczki okryte gronostajem padły na jej łono. Na jej krzyk Tristan zerwał się na nogi, chciał podjąć miecz i poznał po złotej rękojeści szablę króla. Zaś królowa ujrzała na palcu pierścień Marka. Wykrzyknęła:

– Panie, nieszczęście na nas! król nas zeszedł!

– Tak – rzekł Tristan – zabrał mój miecz; był sam, uląkł się, poszedł szukać posiłków; wróci i każe nas spalić w oczach ludu. Uciekajmy!...

I wielkimi postojami, w towarzystwie Gorwenala uszli ku ziemi walijskiej, aż do granic moreńskiego lasu. Ileż niedoli sprawiło na nich miłowanie!

Publikujemy fragment „Dziejów Tristana i Izoldy” Josepha Bédier z zasobów Wolnych Lektur.

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury



